

Hesus

Do pracy dojechałem na ósmą i po rozłożeniu całego majdanu kabli, zasilaczy i elementów projektu, który próbowałem popchać nieco do przodu w domu, siadłem z kawą. Za chwilę powinien pojawić się kandydat na pracownika, potencjalny programista. W CV doświadczenie przedstawiał niewielkie, ale jak wiadomo, rynek pracy jest w tym zakresie wygłodzony i nie ma co przesadzać z wymaganiami.

Usłyszałem szelest zza ściany, a jako że w obrębie firmy nasza pracownia jest na poddaszu i ma mocno wyciszone drzwi, do których progu prowadzą dodatkowe dwa stopnie, to nie każdy zgaduje, że musi zapukać w klamkę na wysokości czoła, aby słyszeć go było po drugiej stronie. Zwyczajnie wycisnęliśmy maksimum miejsca z posiadanego lokalu i nie ma marmurów i recepcji jak w korpo. Umówiłem się z paniami sekretarkami, że zaprowadzą go do mojej dziupli, jak przyjdzie. Pewnie idzie – pomyślałem, wstałem więc szybko i otwarłem drzwi. Faktycznie tam był. Oglądał nasz podręczny magazynek kabli i złączek umieszczony na antresoli. Zamaszyście wskazałem krzesło kolegi przychodzącego na dziewiątą, mówiąc:

- Zapraszam do środka. Proszę siadać tutaj.

Spojrzałem na petenta. Mizernej postury, w przydługawych rękawach bardzo rozciągniętego szarego swetra i bladej cerze niezbyt przypominał kandydata na programistę. Żeby chociaż miał brodę... Właściwie to nikogo mi nie przypominał. Choć może jednak była taka wirtualna postać, muzyk, wokalista. Też takie ręce do kolan.

Wszedł i siadł, zgarbiony, na wskazanym przeze mnie krześle, oddalonym o jakieś dwa metry. Zebrałem myśli i zwracając się do kandydata na programistę zacząłem pospolicie:

- No to w jakim języku Pan programuje najlepiej i czy miał Pan już do czynienia z projektami embedded?

- Miedź. Daj pan miedź... - wyszeptał.